

# NOAH

lat 13

Tak się to wszystko zaczyna.

Zephyr i Fry – dwaj najwięksi socjopaci w sąsiedztwie – prują za mną, a poszycie lasu aż dygocze mi pod nogami, gdy śmigam przez powietrze, omijając drzewa w totalnej panice.

– Zaraz pofruniesz, cioto! – wrzeszczy Fry.

Wtedy Zephyr mnie dopada, wykręca mi ramię do tyłu, potem drugie, a Fry łapie mój szkicownik. Rzucam się w jego stronę, ale nie mam rąk, nie mam szans. Próbuję się wyślizgnąć z uchwytu Zephyra. Nie mogę. Próbuję mrugnięciem zamieścić ich w ćmy. Nie. Wciąż są sobą: wielkimi jak góra bucami z dziesiątej klasy, którzy trzynastolatków takich jak ja dla zabawy zrzucają żywcem z klifu.

Zephyr trzyma mnie od tyłu za szyję, jego pierś napiera na moje plecy, moje plecy na jego pierś. Obaj jesteśmy złani potem. Fry zaczyna przerzucać kartki szkicownika.

– Coś ty tam bazgrał, Kosmito?

Wyobrażam sobie, jak wpada pod ciężarówkę. Unosi kartkę ze szkicami.

– Zeph, patrz na tych wszystkich gołych koleśi.

Krew we mnie zastyga.

– To nie są goli kolesie. To *Dawid* – mówię, modląc się, że-  
bym nie zapisał jak myszokoczek i żeby tylko on nie prze-  
wrócił kolejnych kartek, nie zobaczył rysunków z dzisiaj, kiedy  
podglądałem.

Na tych rysunkach są właśnie oni i dwaj, jak wychodzą  
z morza, z deskami pod pachą, bez kąpielówek, bez niczego,  
błyszcą od wody i... eee... trzymają się za ręce. Tutaj trochę  
mnie poniosło. Jak je zobaczą, to pomyślą... Zabiją mnie i tyle.  
Świat zaczyna koziołkować. Rzucam do Frya:

– No wiesz, Michał Anioł. Słyszałeś o nim w ogóle?

Nie mam zamiaru zachowywać się jak zwykle. „Zachowuj  
się jak twardziel, to będziesz twardzielem”, powtarza w kółko  
tato, tak jakbym był czymś w rodzaju zepsutego parasola.

– No, słyszałem – mówi Fry swoimi wielkimi, wydętymi  
ustami, upchniętymi z resztą bulwiastej twarzy pod wielgach-  
nym czołem, przez co bardzo łatwo pomylić go z hipopotamem.  
Wyrывa stronę ze szkicownika. – Podobno był p e d a ł e m.

Rzeczywiście był – mama napisała o tym całą książkę –  
nie, żeby Fry o tym wiedział. On każdego nazywa pedałem,  
chyba że dla odmiany cipą albo ciotą. A mnie cipą, ciotą i jesz-  
cze Kosmitą.

Zephyr śmieje się jak mroczny demon. Jego śmiech wibru-  
je we mnie.

Fry unosi kolejny szkic. Znów *Dawid*. Dolna połowa ciała.  
Studium detalu. Robi mi się zimno.

Teraz już obaj rechoczą, aż w lesie rozlega się echo. Odbija  
się od ptaków.

Znów próbuję się wywinąć z uścisku Zephyra, żeby wyrwać  
szkicownik z łap Frya, ale Zephyr tylko wzmacnia uchwyt.  
Zephyr to jest, kurde, Thor. Jedną rękę zaciska mi pod szyją,  
a drugą trzyma mnie przez pierś jak pas bezpieczeństwa. Jest  
tylko w kąpielówkach, prosto z plaży, przez koszulkę czuję jego

nagrzaną skórę. Nos i całą głowę wypełnia mi zapach jego kosowego balsamu do opalania – i silny zapach oceanu, tak jakby niósł go na plecach... Zephyr, który ciągnie za sobą falę jak koc... to byłoby niezłe, to byłoby coś... (portret: *Chłopiec, który zabrał ze sobą morze*) – ale nie teraz, Noah, to naprawdę nie jest moment, żeby wyobrażać sobie portret tego debila. Wracam do rzeczywistości, czuję smak soli na wargach, znów dociera do mnie, że zaraz zginę.

Włosy Zephyra, długie jak wodorosty, są mokre, woda ścieka z nich na moją szyję i plecy. Zauważam, że dyszymy w jednym rytmie, ciężkie, łapczywe oddechy. Próbuję przewyciężyć ten rytm. Próbuję przewyciężyć prawo grawitacji i wypłynąć na powierzchnię. Ale się nie udaje. Nic nie mogę zrobić. Fry drze jeden rysunek, potem drugi, a wiatr wyszarpuje mu strzępy z rąk. Przedziera w połowie szkic, na którym jesteśmy Jude i ja, tak że dokładnie mnie z niego wyrывa.

Patrzę, jak odlatuję z wiatrem.

Patrzę, jak Fry zbliża się do rysunków, przez które stracę życie.

Krew dudni mi w uszach.

Ale potem Zephyr mówi:

– Ty, nie drzyj ich. Jego siostra mówi, że jest niezły.

Mówi to, bo lubi Jude? Zresztą prawie wszyscy ją lubią, głównie dlatego że potrafi surfować lepiej niż którykolwiek z nich, uwielbia skakać z klifów i nie boi się niczego, nawet rekinów ludojadów ani taty. I z powodu jej włosów – zużywam na nie wszystkie żółte kredki. Są długie na sto kilometrów i wszyscy w północnej Kalifornii muszą uważać, żeby się nie zaplątać, zwłaszcza małe dzieci, pudle, a teraz jeszcze deskomufy.

No i ma też cycki, które, przysięgam, wyrosły jej w ciągu jednej nocy.

Nie wierzę w to, co widzę, ale Fry posłusznie rzuca szkicownik na ziemię.

Z kartki na wierzchu uśmiecha się do mnie Jude, promiennie, porozumiewawczo. Dziękuję, mówię do niej w myślach. Zawsze ratuje mi tyłek, co zwykle jest żenujące, ale nie teraz. To niesamowite.

(Portret, autoportret: *Bliźnięta: Noah zagląda w lustro, Jude wygląda z lustra*).

– Wiesz, co ci zrobimy? – charczy mi Zephyr do ucha, znowu jak zabójca. Za dużo go jest w jego oddechu. Za dużo go jest na mnie.

– Ej, no co wy? – proszę.

– Ej, no co wy? – przedrzeźnia mnie Fry piskliwym dziewczynskim głosem.

Żołądek mi się przewraca. Devil's Drop, drugie w kolejności najwyższe miejsce na klifie, skąd można skakać i skąd zamierzają mnie zrzucić, nazywa się tak nie bez powodu. Poniżej jest kupa poszarpanych skał i paskudny wir, który wciąga twoje martwe ciało do piekła.

Próbuję się wyrwać z uchwytu Zephyra. I jeszcze raz.

– Fry, łap go za nogi!

Hipopotamowe cielsko Frya rzuca się w stronę moich kostek. No nie, to się nie dzieje naprawdę. To po prostu niemożliwe. Nienawidzę wody, zaraz się utopię i spłynę z prądem do Azji. Potrzebna mi czaszka w jednym kawałku. Roztrzaskać ją to jak zburzyć tajne muzeum, zanim ktokolwiek zobaczy, co jest w środku.

Więc zaczynam rosnać. Rosnę i rosnę, aż w końcu dotykam głową nieba. Potem liczę do trzech i dostaję jakiegoś szalu, w myślach dziękując tacie za zapasy, do których zmuszał mnie na tarasie, za te wszystkie walki na śmierć i życie, kiedy on mógł używać tylko jednej ręki, a ja czego się dało, ale i tak mnie obezwładniał, bo jest wysoki jak wieżowiec i zbudowany z części do ciężarówek.

Ale jestem przecież jego synem, synem - gigantem. Jestem wirującym Goliatem, który rozwali wszystkich, tajfunem w ludzkiej skórze, więc wije się, miotam i próbuję się wyrwać, a oni znów przyciskają mnie do ziemi, śmieją się i rzucają coś w rodzaju: „co za szurnięty gnojek”. Wydaje mi się, że nawet słyszę szacunek w głosie Zephyra, kiedy mówi:

– Nie daję rady, on jest jak cholerny węgorz.

Więc walczę jeszcze bardziej zawzięcie – uwielbiam węgorze, one są elektryczne – i teraz wyobrażam sobie, że jestem jak żywy przewód pod napięciem, naładowany własną energią, uderzam tu i tam, czując, jak ciała wokół mnie skręcają się, ciepłe i śliskie, oni dwaj znów mnie przyciskają do ziemi, a ja znów się wyrrywam, nasze ręce i nogi są splątane ze sobą, a teraz Zephyr przyciska mi głowę do piersi, a Fry jest za moimi plecami, jakby miał sto rąk, rzucam się, w totalnym chaosie, kiedy zaczynam podejrzewać... kiedy dociera do mnie – że mam wzwód, nie-normalnie twardy wzwód, który wciska się w brzuch Zephyra. Groza razi mnie jak wstrząs elektryczny. Próbuję sobie wyobrazić najbardziej koszmarną i krwawą masakrę maczetą – mój najskuteczniejszy sposób na wzwód – ale jest za późno. Zephyr natychmiast zastyga, po czym ze mnie zeskakuje.

– Co do...?

Fry przykleka.

– Co się stało? – rzęzi do Zephyra.

Turlam się na bok i siadam, podciągając kolana do piersi. Jeszcze nie mogę wstać, bo boję się, że będzie namiot, więc skupiam się głównie na tym, żeby się nie rozbeczeć. Gdy tak siedzę, dysząc resztkami sił, czuję, jak w każdy załomek mojego ciała zakrada się chyłkiem mdlący strach. Nawet jeśli nie zabiją mnie tu i teraz, wieczorem już wszyscy na wzgórzu będą wiedzieli, co się przed chwilą stało. Równie dobrze mógłbym położyć łaskę dynamitu z zapalonym lontem i rzucić się z Devil's

Drop. To jest coś gorszego, dużo gorszego niż to, że widzieli jakieś durne rysunki.

(Autoportret: *Pogrzeb w lesie*).

Ale Zephyr nic nie mówi, po prostu stoi, wygląda jak wi-king, tylko z dziwną miną, bez słowa. Dlaczego?

Obezwładniłem go siłą umysłu?

Nie. Wskazuje ręką ocean i rzuca do Frya:

– W cholerę z tym. Bierzmy deski i spadajmy.

Czuję ulgę. Czy to możliwe, że tego nie poczuł? Nie – był twardy jak stal, a on odskoczył totalnie przerażony. Nadal jest przerażony. Więc czemu nie wyzywa mnie od ciot, pedałów, kosmitów? Czy to dlatego, że lubi Jude?

Fry pokazuje kółko na czole i mówi do Zephyra:

– Ktoś tu ma nierówno pod sufitem, stary. – A potem do mnie: – Dopadniemy cię, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał. – Pokazuje ręką, jak będą frunął z klifu.

Już po wszystkim. Poszli z powrotem na plażę.

Zanim tym neandertalczykom coś się odwidzi, łapię szkicownik, wsuwam go pod pachę, a potem, nie oglądając się za siebie, ruszam szybkim krokiem między drzewami, jak ktoś, komu serce nie dygocze, do oczu nie napływają łzy, jakbym nie czuł się kimś zupełnie nowym.

Kiedy las się kończy, wyskakuję z własnej skóry niczym gepard – one potrafią w trzy sekundy rozpędzić się do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, i ja właściwie też. Jestem czwartą na sto metrów we wszystkich siódmych klasach. Umieć rozpiąć powietrze i w nim zniknąć, i to właśnie robię, dopóki nie odbiegnę daleko od nich i od tego, co się stało. Przynajmniej nie jestem jętką. Ich samce mają aż dwa fiuty. Ja mam tylko jednego, a i tak spędziłem już połowę życia pod przysnieniem, myśląc o rzeczach, o których nie mogę przestać myśleć, nieważne, jak bym próbował, bo naprawdę strasznie lubię o nich myśleć. O rany, jak lubię!

Nad strumieniem przeskakuję po kamieniach, aż znajduję fajną jaskinię, gdzie mogę przez następne sto lat patrzeć, jak słońce kąpie się we wzburzonej wodzie. Szkoda, że nie ma tu jakiegoś rogu albo gongu, żeby można było obudzić Boga. Bo chciałbym z nim pogadać. Powiedziałbym mu trzy słowa:

CO, DO CHOLERY?

Po jakimś czasie, kiedy jak zwykle odpowiedzi brak, wyjmuję z tylnej kieszeni węgiel do rysowania. Jakimś cudem się nie połamał. Siadam i otwieram szkicownik. Zamazuję na czarno całą stronę i jeszcze jedną, i kolejną. Przyciskam tak mocno, że łamię jeden kawałek po drugim i ścieram każdy, aż zostaje tylko ogryzek, więc czern jakby spływała z moich palców, ze mnie i wylewała się na papier. W ten sposób zapełniam wszystkie pozostałe kartki szkicownika. Trwa to bardzo długo.

(Seria: *Chłopiec w skrzyni pełnej ciemności*).

Następnego wieczoru przy kolacji mama oświadcza, że dziś babcia Sweetwine jechała z nią samochodem i przekazała jej wiadomość dla Jude i dla mnie.

Tylko że babcia nie żyje.

– Wreszcie! – woła Jude, odchylając się na krześle. – Obiecała!

Bo babcia przyrzekła tuż przed tym, jak umarła we śnie trzy miesiące temu, że jeśli Jude będzie jej naprawdę potrzebować, pojawi się w tej sekundzie. Jude była jej ulubienicą.

Mama uśmiecha się do Jude i opiera rękami o stół. Ja też opieram ręce na stole, potem zdaję sobie sprawę, że ją małpuję, i kładę ręce na kolana. Mama jest zaraźliwa.

I jest przybyszem – niektórzy ludzie po prostu nie są stąd i ona jest jednym z nich. Od lat zbieram na to dowody. Ale o tym później.

A teraz: cała aż promienieje, kiedy w ramach wstępu opowiada o tym, jak poczuła w samochodzie zapach perfum babci.

– Pamiętacie, jak zapach pojawiał się w pokoju, jeszcze zanim weszła? – Mama wzdycha teatralnie, tak jakby kuchnię wypełniła mocna kwiatowa woń perfum babci.

Ja też wzdycham teatralnie. I Jude też. Wzdychają wszyscy w Kalifornii, w całych Stanach, na całej ziemi.

Oprócz taty. On odkasłuje.

W ogóle w to nie wierzy. Bo on jest karczochem. Tak mówiła o nim jego własna matka, babcia Sweetwine, która do końca nie mogła pojąć, jakim cudem urodziła i wychowała takiego kolczastego sztywniaka. Ja też nie mogę.

Sztywniaka, który bada p a s o ż y t y – bez komentarza.

Zerkam na niego, na jego opaleniznę i mięśnie jak u ratownika, jego lśniące białą zęby i całą resztę, i aż mnie mdli. Bo co by było, gdyby się dowiedział?

Jak na razie Zephyr nic nie chlapał. Pewnie o tym nie wiecie, bo to wiem tylko ja, ale fiut pletwała błękitnego ma dwa i pół metra długości! Powtórzę: DWA I PÓŁ METRA! Tak właśnie się czuję od wczoraj.

(Autoportret: *Betonowy fiut wieloryba*).

Tak.

Ale czasem myślę, że tata coś podejrzewa. Czasem myślę, że nawet toster coś podejrzewa.

Jude trąca stopą moją nogę pod stołem, żebym odwrócił uwagę od solniczki, na którą, jak widać, się gapiłem. Kiwa głową w stronę mamy, która ma przymknięte oczy, a ręce złożone na sercu. A potem w stronę taty, który patrzy na mamę tak, jakby brwi przeniosły się jej na brodę. Wytrzeszczamy na siebie oczy. Przygryzam policzek, żeby się nie śmiać. Jude też – razem dostajemy ataku głupawki. Pod stołem przyciskamy nasze stopy do siebie.

(Portret rodzinny: *Mama przy obiedzie rozmawia ze zmarłymi*).

– No? – dopytuje Jude. – Co powiedziała?



Mama otwiera oczy, mruga do nas, po czym zamyka je i mówi głuchym głosem, jak medium podczas seansu:

– Więc poczułam kwiatowy zapach i zobaczyłam jakby migotanie... – Jej ramiona powiewają jak szale, upaja się tą chwilą. Właśnie dlatego tak często zostaje wykładownicą roku: wszyscy chcą grać razem z nią w jej filmie.

Nachylamy się, czekając na to, co powie, na Wiadomość z Nieba, ale wtedy wtrąca się tata i psuje całą zabawę.

Je go nigdy nie wybrali na wykładownicę roku. Ani razu. To mówi samo za siebie.

– Dzieci powinny wiedzieć, że traktujesz to wszystko metaforycznie, kochanie – mówi, prostując się tak, że jego głowa przebija sufit. Na większości moich rysunków jest taki wielki, że nie mieści się na kartce, więc rysuję go bez głowy.

Mama wznosi oczy do góry, już nie jest rozbawiona.

– Benjaminie, tylko że ja nie traktuję tego metaforycznie.

Kiedyś przy nim promieniała, teraz zaciska zęby. Nie wiem dlaczego.

– Mówiłam całkiem dosłownie – kontynuuje przez te zaciśnięte zęby – że niezrównana babcia Sweetwine, która umarła i nie żyje, siedziała obok mnie w samochodzie, tak po prostu. – Uśmiecha się do Jude. – Była ubrana w jedną ze swoich Powiewnych Sukni i wyglądała o s z a ł a m i a j ą c o.

Babcia uwielbiała Powiewne Suknie.

– Och! W którą? Niebieską? – Jude pyta o to tak, że aż ściska mnie w piersi.

– Nie, tę w pomarańczowe kwiatki.

– No jasne – odpowiada Jude. – Idealny strój dla ducha. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, jak będzie wyglądała w zaświatach.

Przychodzi mi do głowy, że mama wymyśla to wszystko, bo Jude wciąż tęskni za babcią. Pod sam koniec prawie nie odchodziła od jej łóżka. Kiedy mama znalazła je tego

ostatniego ranka, jedną śpiącą, drugą zmarłą, trzymały się za ręce. Moim zdaniem to był jakiś koszmar, ale zatrzymałem to dla siebie.

– No... – Jude unosi brew. – To co powiedziała?

– Wiesz, czego bym bardzo chciał? – mówi tato, znów wtaczając się do rozmowy jak pieprzona lokomotywa, tak że nigdy się nie dowiemy, co powiedziała babcia. – Bardzo bym chciał, żebyśmy wreszcie ogłosili koniec Królestwa Bzdur.

Znowu. To królestwo zaczęło się wtedy, kiedy wprowadziła się babcia. Tato, „człowiek nauki”, powiedział nam, żebyśmy wszystkie zabobonne bzdury, które wygłasza jego matka, traktowali z przymrużeniem oka. Babcia mówiła nam z kolei, żebyśmy nie słuchali jej syna sztywniaka i żebyśmy zamiast mrużyć oczy, lepiej splunęli przez lewe ramię.

Potem wyjęła swoją „biblię” – ogromną oprawioną w skórę księgę pełną dziwacznych wymysłów (czyli „bzdur”) – i zaczęła nam je wkładać do głowy. Głównie Jude.

Tata bierze z talerza kawałek pizzy. Ser zwiesza się z krawędzi. Tato patrzy na mnie.

– I co ty na to, Noah? Nie cieszysz się, że nie jemy jednej z babcinych magicznych potrawek?

Nie odzywam się. Bardzo mi przykro. Uwielbiam pizzę, tęsknię za nią nawet wtedy, gdy właśnie ją jem, ale nie dołączyłbym do drużyny taty, nawet gdyby grał w niej Michał Anioł. Nie dogadujemy się, chociaż on o tym zapomina. Ja nigdy nie zapominam. Kiedy słyszę, jak woła mnie dudniącym głosem, żebyśmy obejrzeni mecz albo jakiś film, w którym wszystko wybucha, albo posłuchali jazzu, od którego czuję się jak płyta puszczona od tyłu, otwieram okno w swoim pokoju, wyskakuję i idę do lasu.

Czasem, kiedy nikogo nie ma, idę do jego gabinetu i łąmię mu ołówki. Kiedyś po jednej szczególnie rzygliwej rozmowie pod hasłem „Noah zepsuty parasol”, gdy zaśmiał się

i powiedział, że gdyby Jude nie była moją siostrą bliźniaczką, miałby pewność, że przyszedłem na świat w rezultacie partenogenezy (sprawdziłem: poczęcie bez ojca), zakradłem się do garażu, gdy wszyscy spali, i porysowałem mu samochód.

Ponieważ czasem, kiedy rysuję, widzę ludzkie dusze, wiem o czymś takim: dusza mamy ma postać ogromnego słonecznika, tak wielkiego, że ledwo jej się mieści w środku cokolwiek innego. Jude i ja mamy jedną duszę na dwoje: drzewo z płonącymi liśćmi. A dusza taty to talerz pełen robaków.

Jude mówi do niego:

– Myślisz, że babcia nie słyszała, jak źle się wyrażasz o jej potrawach?

– Odpowiedź brzmi: stanowczo nie – odpowiada tato, po czym wgryza się w kawałek pizzy, aż cała twarz świeci mu się od tłuszczu.

Jude wstaje. Jej włosy wyglądają jak świetliste sople. Spogląda w sufit i oświadcza:

– Mnie nie zawsze smakowało to, co gotowałaś, babciu.

Mama wyciąga rękę i ściska jej dłoń, po czym też mówi w kierunku sufitu:

– Mnie też, Cassandro.

Jude uśmiecha się od środka.

Tata udaje, że strzela sobie w głowę.

Mama pochmurnieje – wygląda wtedy, jakby miała sto lat.

– Pogódź się z tajemnicą, profesorze – mówi. Zawsze powtarza to tacie, ale kiedyś mówiła to inaczej. Mówiła tak, jakby otwierała przed nim drzwi, a nie zamykała mu je przed nosem.

– Pani profesor, ożeniłem się z tajemnicą – odpowiada on jak zwykle, ale kiedyś to brzmiało jak komplement.

Dalej jemy pizzę. Atmosfera jest kwaśna. Od myśli mamy i taty powietrze robi się czarne. Wsłuchuję się w odgłos własnego przeżuwania, kiedy Jude znów trąca mnie stopą. Odpowiadam tym samym.

– To co powiedziała babcia? – Jude rozbija napięcie, uśmiechając się z nadzieją.

Tata patrzy na nią, spojrzenie mu łagodnieje. Jude jest także jego ulubienicą. A mama nie ma swojego ulubieńca, co oznacza, że to miejsce jest do wzięcia.

– Jak już wspomniałam – tym razem mama mówi swoim zwykłym chropawym głosem, brzmiącym, jakby wydobywał się z jaskini – dziś po południu przejeżdżałam obok CSA, liceum plastycznego, i właśnie wtedy babcia wpadła znienacka, żeby mi powiedzieć, że to idealne miejsce dla was obojga. – Potrząsa głową rozpromieniona, tak że znów wygląda na swoje lata. – To rzeczywiście idealne miejsce. Nie mogę uwierzyć, że nigdy na to nie wpadłam. Wciąż chodzi mi po głowie ten cytat z Picassa: „Każde dziecko to artysta. Problem w tym, jak pozostać artystą, kiedy się dorośnie”. – Ma szalone spojrzenie, jak czasem w muzeach, jakby miała zamiar ukraść jakiś obraz. – Przecież to dla was życiowa szansa. Nie chcę, żebyście zostali stłamszeni jak... – Nie kończy, przeczesuje ręką włosy, czarne i rozwichrzone jak moje, i odwraca się do taty. – Benjaminie, naprawdę chcę, żeby tam poszli. Wiem, że to będzie dużo kosztowało, ale co za szan...

– I to wszystko? – przerywa jej Jude. – Tylko tyle powiedziała? To była ta wiadomość z z a s w i a t ó w? O jakiejś tam szkole? – Wygląda, jakby miała się rozpłakać.

Ale ja nie zamierzam płakać. Liceum plastyczne? Nigdy nawet o tym nie myślałem, nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym pójść nie do Roosevelta, do szkoły dla buców, tam gdzie wszyscy. Jestem pewien, że krew właśnie rozświetliła wnętrze mojego ciała.

(Autoportret: *W mojej piersi otwiera się okno*).

Mama znów ma minę szaleńca.

– To nie jakaś tam szkoła, Jude. To szkoła, w której codziennie przez cztery lata będziesz mogła wrzeszczeć z dachu. Nie macie ochoty wrzeszczeć z dachu?

– Ale co wrzeszczeć? – pyta Jude.

Słyszac to, tato wyduje swój suchy koleczasty chichocik.

– Sam nie wiem, Di – mówi. – Taka szkoła jest za bardzo skupiona na jednej dziedzinie. Zapominasz, że dla reszty świata sztuka to tylko sztuka, nie religia.

Mama bierze nóż, wbija mu w brzuch i przekręca. Ale tata brnie dalej, nie zwracając na to uwagi.

– W każdym razie są dopiero w siódmej klasie. Mają jeszcze sporo czasu.

– Ja chcę tam iść! – wybucham. – Nie chcę zostać stłamszony!

Dociera do mnie, że to pierwsze słowa, które powiedziałem na głos, odkąd siedzimy przy stole. Mama się do mnie uśmiecha. Tata jej nie przekona. Wiem, że nie ma tam deskomułów. Pewnie tylko dzieciaki o świecącej krwi. Tylko rewolucjoniści.

Mama mówi do taty:

– Będą musieli się przez rok przygotowywać. To jedna z najlepszych szkół artystycznych w kraju, z pierwszorzędnymi wykładowcami. I jest tuż obok!

Jej entuzjazm nakręca mnie jeszcze bardziej. Zaraz odfrunę.

– Naprawdę nie jest łatwo się tam dostać. Ale wam na pewno się uda. Macie wrodzony talent i już teraz mnóstwo umiecie. – Uśmiecha się do nas z taką dumą, że wygląda to, jakby słońce wstawało nad stołem.

To prawda. Inne dzieci miały kolorowanki, a my albumy ze sztuką.

– W ten weekend zaczniemy zwiedzać muzea i galerie. Będzie super. Możemy sobie urządzać konkursy rysunkowe.

Jude puszcza na stół niebieskiego świeącego pawia, ale tylko ja to zauważam. Ona nieźle rysuje, ale to jest coś innego. W moim przypadku szkoła przestała być codzienną ośmiogodzinną operacją na żywym organizmie, dopiero kiedy zdałem sobie sprawę, że wszyscy wolą, żebym ich rysował,

zamiast rozmawiać ze mną albo masakrować mi twarz. Jude nikt nigdy nie chciał masakrować. Ona jest wesoła, zabawna i normalna – nie jest rewolucjonistką – i rozmawia ze wszystkimi. Ja rozmawiam sam ze sobą. I z Jude oczywiście, chociaż głównie bez słów, bo tak właśnie ze sobą rozmawiamy. I z mamą, bo ona jest przybyszem. (Dowody, w skrócie: Jak na razie nie przeszła przez ścianę ani nie podnosiła domu siłą woli, ani nie zatrzymała czasu, ani nie zrobiła niczego naprawdę odjazdowego, ale zdarzały się różne rzeczy. Na przykład ostatnio któregoś ranka była jak zwykle na tarasie i piła herbatę, a kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że unosi się w powietrzu. Przynajmniej tak to dla mnie wyglądało. I coś, co rozstrzyga wszystko: nie ma rodziców. Jest podrzutkiem! Zostawiono ją, kiedy była niemowlakiem, w jakimś kościele w Reno w Nevadzie. Halo! To oni ją podrzucili). A, i rozmawiam też ze swoim sąsiadem Łobuzem, który właściwie jest koniem.

Stąd Kosmita.

Naprawdę przez większość czasu czuję się, jakby ktoś mnie porwał.

Tato opiera łokcie na stole.

– Dianno, spójrz na chwilę w przeszłość. Myślę, że to projekcja. Stare marzenia nie...

Mama nie pozwala mi powiedzieć ani słowa więcej. Zgrzyta zębami jak obłąkana. Teraz wygląda, jakby miała w środku cały słownik brzydkich wyrazów albo wojnę atomową.

– NoahiJude, weźcie talerze i idźcie do pokoju. Muszę pogadać z waszym ojcem.

Nie ruszamy się z miejsc.

– NoahiJude, no już.

– Jude, Noah – mówi tato.

Biorę talerz i idę tuż za Jude. Wyciąga do mnie dłoń, więc biorę ją za rękę. Spostrzegam wtedy, że ma sukienkę kolorową

jak egzotyczna rybka. Babcia nauczyła ją szyć ubrania. O, słyszę przez okno Proroka, nową papugę sąsiadów.

– Gdzie, kurna, jest Ralph? – skrzeczy. – Gdzie, kurna, jest Ralph? – Powtarza tylko to, przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. Nikt nie ma pojęcia, kim jest Ralph, nie mówiąc o tym, gdzie go szukać.

– Cholerna durna papuga! – tato wrzeszczy tak, że podmuch rozwiewa nam włosy.

– On wcale tak nie uważa – mówię do Proroka w myślach i zdaję sobie sprawę, że powiedziałem to głośno. Czasem słowa wylatują mi z ust jak ropuchy. Chcę wyjaśnić tacie, że mówiłem do papugi, ale urywam, bo pewnie mu się to nie spodoba, i zamiast tego wydobywa się ze mnie dziwny beczący dźwięk, tak że wszyscy oprócz Jude patrzą na mnie jak na wariata.

Rzucamy się do drzwi.

Chwilę później już siedzimy na kanapie. Nie włączamy telewizora, żeby móc podsłuchiwać, ale oni rozmawiają wścickłym szeptem, więc nie da się nic zrozumieć. Zjadamy na pół mój kawałek pizzy, bo Jude zapomniała zabrać swój talerz. Potem Jude mówi:

– Myślałam, że babcia przekaże nam coś niesamowitego. Wiesz, na przykład, że w niebie jest ocean.

Opieram się wygodnie, ciesząc się, że jestem tylko z Jude. Kiedy jesteśmy tylko we dwójkę, nigdy nie czuję się, jakby mnie porwali.

– Jasne, że mają tam ocean, fioletowy, piasek jest niebieski, a niebo zielone jak diabli.

Uśmiecha się, zastanawia przez chwilę, po czym mówi:

– A kiedy się zmęczysz, włączysz do swojego kwiatu i zasypiesz. W ciągu dnia wszyscy rozmawiają kolorami, a nie dźwiękami. I jest tak cicho. – Zamyka oczy i powoli dodaje: – A kiedy ludzie się zakochują, stają w płomieniach.

Jude uwielbia tę historię – to była jedna z ulubionych opowieści babci. Bawiliśmy się w to, kiedy byliśmy mali. „Dzieci, zabierzcie mnie stąd – mówiła, albo czasem: – Weźcie mnie stąd, do cholery!”

Kiedy Jude otwiera oczy, magia znika z jej twarzy. Wzdycha.

– Co? – pytam.

– Nie pójdę do tej szkoły. Tylko obcy tam idą.

– Obcy?

– No, świry. Mówią, że California School of Arts to liceum dla odmieńców.

O rany, o rany, dzięki, babciu! Tata musi ustąpić. Muszę tam pójść! Świry, które zajmują się sztuką! Tak się cieszę, że aż cały podskakuję w środku.

Ale Jude nie. Jest całkiem smutna. Żeby ją pocieszyć, mówię:

– Może babcia widziała twoje fruwające kobiety i dlatego chce, żebyśmy tam poszli.

Jude lepiła je z mokrego piasku trzy zatoczki od naszego domu. Takie same od dawna robiła z tłuczonych ziemniaków albo z kremu do golenia taty, kiedy myślała, że nikt nie widzi. Obserwowałem z urwiska, jak buduje ich większe wersje z piasku, i wiedziałem, że w ten sposób próbuje porozmawiać z babcią. Zawsze wiem, co się dzieje w jej głowie. Ale jej nie jest łatwo powiedzieć, co się dzieje w mojej, bo ja mam okiennice i zamykam je zawsze, kiedy muszę. Na przykład ostatnio.

(Autoportret: *Chłopiec schowany w chłopcu schowanym w chłopcu*).

– To chyba nie jest sztuka. To jest... – Nie kończy. – To przez ciebie, Noah. I powinieneś przestać łązić za mną na plażę. A gdybym się z kimś całowała?

– Z kim? – Przyszedłem na świat tylko dwie godziny, trzydzieści siedem minut i trzystaście sekund później niż Jude, ale



zawsze czuję się jak jej młodszy brat. Nienawidzę tego. – Z kim miałybyś się całować? Całowałaś kogoś?

– Powiem ci, jak mi powiesz, co się wczoraj stało. Wiem, że coś się stało i że to dlatego nie mogliśmy dziś pójść do szkoły normalną drogą.

Nie chciałem trafić na Zephyra albo Frya. Liceum jest tuż obok gimnazjum. A ja nie chcę ich widzieć już nigdy więcej. Jude dotyka mojego ramienia.

– Jeśli ktoś ci coś zrobił albo coś ci mówił, powiedz mi.

Próbuje wejść w moje myśli, więc zamykam okiennice. Zatrząskuję je szybko, tak że zostają po jednej stronie, a ona po drugiej. To nie jest coś takiego jak inne koszmarne historie, na przykład takie jak ta, kiedy na meczu piłki nożnej walnęła w twarz Michaela Steina, człowieka-górę, tylko dlatego, że nazwał mnie niedorozwojem, bo skupiłem się na chwilę na strasznie fajnym mrowisku. Albo ta, kiedy porwał mnie prąd i razem z tatą musieli mnie wyciągać z morza na oczach całej plaży deskomułów. To jest coś innego. Wspomnienie tego, co wydarzyło się wczoraj, parzy mnie, jakbym cały czas stąpał gołymi stopami po rozżarzonych węglach. Wstaję z kanapy, żeby nie być w zasięgu potencjalnej telepatii – kiedy dobiega nas wrzask.

Jest tak głośny, że dom mało się nie rozpada. Tak samo jak ostatnio.

Opadam z powrotem na kanapę. Jude patrzy na mnie. Oczy ma bladoniebieskie jak lodowiec – kiedy je rysuję, używam głównie bieli. Zwykle, gdy się na nie patrzy, człowiek jakby unosi się wśród chmur i dźwięków harfy, ale teraz widać w nich tylko przerażenie. Wszystko inne zniknęło.

(Portret: *Mama i tato z wyjącymi czajnikami zamiast głów*).

Kiedy Jude się odzywa, jej głos brzmi tak jak wtedy, kiedy była mała, jakby był zrobiony z błyszczącej folii.

– Naprawdę myślisz, że to dlatego babcia chce, żebyśmy poszli do tej szkoły? Bo widziała moje fruujące kobiety?

– Tak – kłamię. Myślę, że miała rację za pierwszym razem. Myślę, że to przeze mnie.

Przysuwa się szybko, tak że siedzimy ramię przy ramieniu. To my. To nasza poza. Dwa w jednym. Tak samo wyglądamy na zdjęciu USG u mamy w brzuchu i tak przedstawiłem nas na rysunku, który Fry wczoraj podarł. Inaczej niż większość ludzi na ziemi od pierwszych komórek byliśmy razem, zjawiliśmy się tu we dwójkę. Dlatego prawie nikt nie zauważa, że przez większość czasu to Jude gada za nas dwoje, dlatego potrafimy grać na pianinie tylko na cztery ręce, a nie każde osobno, i dlatego nigdy nie możemy się bawić w papier, nożyce, kamień, bo ani razu przez trzynaście lat nie wybraliśmy różnych rzeczy. Zawsze jest tak samo: dwa kamienie, dwa razy papier, dwie pary nożyczek. Kiedy nie rysuję nas razem, rysuję nas jako półludzi.

Ogarnia mnie spokój, bo jesteśmy razem. Jude nabiera powietrza, a ja się dołączam. Może jesteśmy już na to za duzi, ale nieważne. Widzę, że się uśmiecha, chociaż patrzę wprost przed siebie. Oddychamy razem: wydech, wdech, wydech, wdech, i jeszcze raz, i wciąż, aż w końcu nawet drzewa nie pamiętają, co się stało wczoraj w lesie, aż głosy rodziców zmieniają się z kłótni w muzykę, aż w końcu jesteśmy nie tylko w tym samym wieku, ale stajemy się kompletną jedną osobą.

Tydzień później wszystko się zmienia.

Jest sobota, a mama, Jude i ja jesteśmy w centrum, w kawiarni na dachu muzeum, bo mama wygrała kłótnię i za rok oboje składamy papiery do CSA.

Jude siedzi naprzeciwko mnie, rozmawia z mamą i jednocześnie przesyła mi w myślach groźby, że mnie zabije, bo zrobiliśmy sobie konkurs i ona uważa, że moje rysunki wypadły lepiej niż jej. Mama sędziuje. I dobrze, może nie powinienem

był próbować naprawiać rysunków Jude. Jest przekonana, że chciałem jej zepsuć. Bez komentarza.

Zerka na mnie ukradkiem, przewracając oczami. Jest sześć i trzy dziesiąte w skali Richtera. Zastanawiam się, czy nie kopnąć jej pod stołem, ale się powstrzymuję. Zamiast tego pijam czekoladę i cichcem podglądam grupę starszych chłopaków po lewej. Jeśli chodzi o mojego dwumetrowego betonowego fiuta, żadnych skutków ubocznych poza tymi w mojej wyobraźni (autoportret: *Chłopiec po kawałku rzucony na pożarcie ognistym mrówkom*). Ale może Zephyr nikomu nie powie.

Goście przy stoliku obok mają gumowe plugi w uszach, ćwieki w brwiach i wyglądają się jak banda lemurów. Pewnie chodzą do CSA – na tę myśl aż zaczynam wibrować. Jeden z nich ma okrągłą twarz, duże niebieskie oczy i wypukłe czerwone usta jak z obrazów Renoira. Uwielbiam takie usta. Szybko szkicuję jego twarz palcami na nogawce spodni pod stołem, kiedy on przyłapuje mój wzrok, ale zamiast spojrzeć na mnie wściekle, żebym pilnował swojego nosa, mruga do mnie, powoli, tak że nie ma wątpliwości, po czym znów skupia się na kumplach, a ja przechodzę w stan ciekły.

Mrugnął do mnie. Jakby wiedział. Ale nie jest mi z tym źle. Ani trochę. Właściwie to szczerzę się jak głupi, a teraz, o rany, on znów tu patrzy i znów się uśmiecha. Twarz zaczyna mi płonąć.

Próbuję się skupić na mamie i Jude. Rozmawiają o babcinej biblii. Znowu. Mama mówi, że to encyklopedia dawnych wierzeń. Że babcia zbierała pomysły wszędzie, od każdego, zostawiała nawet tę księgę otwartą na ladzie obok kasy w swoim sklepie odzieżowym, żeby wszyscy jej klienci mogli dopisywać swoje bzdurne zabobony.

– Na samym końcu – mówi mama do Jude – napisała, że kiedy umrze, księga należy się tobie.

– Mnie? – Jude rzuca mi triumfujące spojrzenie. – Właśnie mnie? – Nadyma się tak, że zaraz pęknie.

Nieważne. I tak nie chciałem żadnej biblii.

Mama mówi:

– Cytuję: „Tę pożyteczną księgę przekazuję w spadku mojej wnuczce Jude Sweetwine, ostatniej żyjącej posiadaczce daru Sweetwine’ów”.

Puszczam jaskrawozielonego pawia i obrzyguję cały stół.

Babcia Sweetwine uznała, że jej wnuczka ma dar intuicji Sweetwine’ów, kiedy odkryła, że Jude potrafi zrobić kwiatek z języka. Mieliśmy cztery lata. Potem Jude przez wiele dni stała ze mną przed lustrem i wciskała mi palec w język, bez końca, próbując mnie tego nauczyć, żebym też miał dar Sweetwine’ów. Ale się nie dało. Umiałem odwinąć język i zwijać go w trąbkę, ale nie umiałem zrobić kwiatka.

Znów zerkam na stolik lemurów. Zbierają się do wyjścia. Mrugający Księżyca w Pełni zarzuca plecak na ramię, po czym bezgłośnie mówi mi cześć.

Przełykam ślinę, spuszcza wzrok i stoję w płomieniach.

A potem zaczynam z pamięci rysować go w wyobraźni.

Kiedy kilka minut później wracam do rzeczywistości, mama mówi Jude, że inaczej niż babcia Sweetwine ona będzie nas nawiedzać uparcie i z rozmachem, a nie tylko wsiadać na chwilę do samochodu.

– Będę duchem, który wtrąca się we wszystko. – Śmieje się głośno jak to ona i trzepocze rękami w powietrzu. – Mam za dużą potrzebę kontroli. Nigdy się mnie nie pozbędziecie! Nigdy! – Rechocze teatralnie.

Nagle wygląda tak, jakby wokół niej rozpełtała się wichura. Ma rozwiane włosy, a sukienka lekko się nadyma. Sprawdzam pod stołem, czy nie ma tam jakiejś wentylacji, ale nie. Widzicie? Inne matki nie mają swojej własnej pogody. Uśmiecha się do nas tak czule, jakbyśmy byli szczeniakami, a mnie coś ścisza w piersi.

Zamykam okiennice w swojej głowie, podczas gdy one ze szczegółami omawiają to, jakim duchem byłaby mama. Gdyby mama umarła, słońce by zgasło. Kropka.

Zamiast tego myślę o tym, co działo się dzisiaj.

Jak chodziłem od obrazu do obrazu, prosząc każdy z nich, żeby mnie pochłonął, i każdy z nich to właśnie robił.

A moja skóra cały czas na mnie pasowała, ani razu nie opadła mi do kostek ani nie ścisnęła mi głowy w łeppek szpilki.

Wracam do rzeczywistości, gdy mama bębni palcami o stół.

– No to zajrzyjmy do waszych szkicowników – mówi z przejęciem.

Narysowałem cztery pastele ze stałej kolekcji: Chagalla, Franza Marca i dwie Picassa. Wybrałem właśnie te, bo te obrazy patrzyły na mnie równie mocno, jak ja na nie. Mama powiedziała, że nie musimy robić dokładnych kopii. Ja wcale nie kopiowałem. Wziąłem oryginały, potrząsnąłem nimi w głowie, a potem narysowałem na nowo, całe unurzane we mnie.

– Ja pierwszy – mówię i wtykam mamie szkicownik.

Tym razem przewracanie oczami osiąga u Jude siedem i dwie dziesiąte w skali Richtera, aż budynek się kołysze. Mam to gdzieś, nie mogę czekać. Coś się stało, kiedy dziś rysowałem. Jakby ktoś podmienił mi oczy na lepsze. Chcę, żeby mama to zauważyła.

Patrzę, jak powoli odwraca kartki, potem zakłada babcio-wate okulary, które nosi na łańcuszku na szyi, i jeszcze raz ogląda rysunki, a potem jeszcze raz. W pewnym momencie patrzy na mnie, jakbym zmienił się w gwiazdonosa, po czym wraca do oglądania.

Wszystkie odgłosy kawiarni: rozmowy, brzęczenie ekspresu do kawy, podzwanianie szklanek i talerzy, milkną, gdy patrzę, jak jej palec zawisa nad kartkami. Patrzę jej oczami i widzę, że stworzyłem coś naprawdę dobrego. Zaczynam się czuć jak rakietka gotowa do startu. To jasne, że będę zdawać do CSA, nie

ma innej opcji! I mam jeszcze cały rok, żeby zyskać pewność. Już poprosiłem pana Grady'ego, nauczyciela plastyki, żeby po lekcjach uczył mnie mieszania farb olejnych, a on się zgodził. Kiedy wydaje mi się, że mama wreszcie skończyła, wraca na początek i zaczyna od nowa. Nie może przestać! Jej twarz wręcz tryska szczęściem. Zaraz chyba zejść.

Tylko że zaczyna się oblężenie. Psychiczny nalot bombowy z kierunku Jude. (Portret: *Zielona z zazdrości*). Skóra: limonka. Włosy: zieleń *chartreuse*. Oczy: leśny. Cała zielona, zielona, zielona. Patrzę, jak otwiera torebkę z cukrem, wysypuje odrobinę na stół, po czym przyciska palec z przyklepionymi kryształkami do okładki swojego szkicownika. Kolejny zabobon z biblii babci – to niby ma przynosić szczęście. Czuję, jak żołądek mi się skręca. Powinienem już zabrać mamie szkicownik, ale tego nie robię. Nie mogę.

Za każdym razem, kiedy babcia Sweetwine wróżyła z ręki Jude i mnie, mówiła, że w naszych liniach dłoni mamy dość zazdrości, żeby dziesięć razy zrujnować sobie życie. Wiem, że miała rację. Kiedy rysuję Jude i siebie z przezroczystą skórą, zawsze mamy w brzuchach grzechotniki. Ale ja tylko kilka. Jude ma ich co najmniej siedemnaście.

Wreszcie mama zamyka szkicownik i mi go oddaje. Mówi do nas:

– Konkursy są głupie. Proponuję, żebyśmy przez najbliższy rok poświęcali soboty na podziwianie sztuki i naukę rzemiosła. Co wy na to?

Mówi to, jeszcze zanim wzięła do ręki szkicownik Jude.

Sięga po filiżankę z czekoladą, ale nie pije.

– Niewiarygodne – dodaje, kręcąc powoli głową. Czy już całkiem zapomniała o szkicowniku Jude? – Widzę wrażliwość Chagalla i paletę Gauguina, ale jednocześnie punkt widzenia jest w pełni twój. A jesteś taki młody. To niezwykle, Noah. Po prostu nadzwyczajne.

(Autoportret: *Chłopiec nurkujący w jeziorze światła*).

– Naprawdę? – pytam szeptem.

– Naprawdę – odpowiada z powagą. – Wbiło mnie w ziemię.

Coś w jej twarzy się zmieniło – jakby pośrodku rozsunała się kurtyna. Zerkam ukradkiem na Jude. Widzę, że skuliła się w kącie samej siebie, tak samo jak ja w sytuacjach kryzysowych. Mam w środku taką kryjówkę, do której nikt nie wejdzie, nieważne, co by się działo. Nie miałem pojęcia, że ona też taką ma.

Mama tego nie zauważa. Choć zwykle dostrzega wszystko. Ale teraz siedzi, nie widząc, co się dzieje wokół niej, jakby śniła na jawie.

Wreszcie się otrząsa, jednak jest za późno.

– Jude, kochanie, dasz mi swój szkicownik? Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co narysowałaś.

– Nic nie szkodzi – mówi Jude blaszonym głosem, szkicownik już dawno schowała głęboko do torby.

Jude i ja gramy w dużo gier. Jej ulubiona to „Jak wolałbyś umrzeć” (Jude: zamarznąć, ja: spłonąć) oraz gra w topielca. Gra w topielca jest taka: gdyby mama i tato się topili, kogo byśmy najpierw ratowali? (Ja: no, mamę, Jude: zależy od nastroju). Jest też inny wariant: gdybyśmy my się topili, kogo tato ratowałby pierwszego? (Jude). Przez trzynaście lat mama była dla nas zagadką. Kompletnie nie mieliśmy pojęcia, kogo jako pierwszego wyciągałaby z wody.

Aż do teraz.

I nawet nie musimy na siebie patrzeć. Po prostu to wiemy.

## JUDE

lat 16

*Trzy lata później*

No to jestem.

Stoję obok swojej rzeźby w pracowni w CSA z czterolistną koniczyną w kieszeni. Przez cały ranek łąziłam na czworakach po kępie koniczyny niedaleko szkoły, ale nic nie znalazłam – wszystko wyzbierane. I nagle: eureka! Przylepiłam czwarty listek do zwykłej trójlistnej koniczyny, owinęłam ją w plastik i wsunęłam do kieszeni bluzy, tuż obok cebuli.

Jestem w pewnym sensie głosicielką Dobrej Nowiny. Tylko że inni mają Biblię Gedeonitów, a ja mam biblię babci Sweetwine. Kilka cytatów:

*Ktoś, kto ma czterolistną koniczynę,  
pokona wszystkie złowrogie siły.*

(W liceum plastycznym aż roi się od złowrogich sił.  
Zwłaszcza dzisiaj: mam nie tylko prezentację, ale też  
spotkanie ze swoim opiekunem i mogą mnie wywalić).

*By uniknąć ciężkiej choroby, noś w kieszeni cebulę.*

(Jest. Ostrożności nigdy dość).



*Jeśli chłopak da dziewczynie pomarańczę,  
jej miłość do niego się zwielokrotni.*

(Tego nie wiem. Jeszcze nigdy żaden  
chłopak nie dał mi pomarańczy).

*Stopy duchów nigdy nie dotykają ziemi.*

(Dojdziemy do tego. Niedługo).

Dzwoni dzwonek.

Wchodzą. Moja grupa z drugiego roku, pracownia rzeźby w glinie. Każdy gotów udusić mnie poduszką. To znaczy: gapi się oniemiały na moją rzeźbę. Mieliśmy za zadanie zrobić kolejny autoportret. Ja poszłam w abstrakcję, to znaczy w bezkształtną grudę. Degas malował tancerki, ja robię grudy. Potłuczone, polepione grudy. To już ósma.

– Co się dzieje w tej pracy? – pyta Sandy Ellis, mistrz ceramiki, nauczyciel rzeźby w glinie i mój opiekun. Zawsze tak zaczyna omawianie prac.

Nikt się nie odzywa. W tej szkole dla odmienców krytyka zawsze musi być opakowana w pochwały. A pomiędzy nimi ludzie mówią okropne rzeczy, które naprawdę myślą.

Nie ruszając głową, omiatam wzrokiem salę. Drugi rok pracowni rzeźby w glinie to całkiem niezła reprezentacja uczniów CSA: pełen przegląd wszelkich odchyłów. Normalni tacy jak ja – tylko kilka dyskretnych tików, w końcu każdemu wolno – są wyjątkiem.

Wiem, co sobie myślicie. To Noah by tu pasował, nie ja.

Sandy zerka na grupę znad okrągłych przyciemnianych szkieł.

Zwykle wszyscy od razu się rzucają, ale teraz jedyny dźwięk w pracowni to elektryczny szum świetlówek. Patrzę, jak mija czas na starym zegarku mamy – miała go na ręce dwa lata

temu, kiedy samochód zjechał z urwiska i zginęła w wypadku – a wskazówki krążą na moim nadgarstku.

*Deszcz w grudniu zwiastuje niespodziewany pogrzeb.*

(Przed jej śmiercią padało przez prawie cały gruzdzień).

– No, proszę państwa, jakieś pozytywne opinie na temat pracy *Potłuczona gruda nr 8*?

Sandy powoli gładzi się po krzaczastej brodzie. Gdybyśmy wszyscy zmienili się w nasze zwierzęce odpowiedniki (kiedy byliśmy mali, Noah ciągle chciał się w to bawić), Sandy byłby kozłem.

– Rozmawialiśmy o punkcie widzenia – mówi. – Pomówmy o punkcie widzenia CJ, dobrze?

CJ to skrót od Calamity Jane, Jane Katastrofa – tak właśnie nazywają mnie w szkole z powodu mojego „pecha”. Nie chodzi tylko o pęknięcie rzeźb w piecu do wypalania. W zeszłym roku w pracowni ceramiki kilka moich misek najwyraźniej zeskończyło w nocy z półek, kiedy wszyscy już poszli, okna były zamknięte, a najbliższe trzęsienie ziemi odnotowano w Indonezji. Stróż był zdumiony.

Wszyscy byli zdumieni oprócz mnie.

Caleb Cartwright unosi ręce w geście, który ostatecznie upodabnia go do mima: ma na sobie czarny golf, czarne dżinsy rurki, czarny melonik, a oprócz tego używa czarnej kredki do oczu. Ten jego kabaretowy styl jest właściwie całkiem sexy – nie, żebym to zauważyła. Bojkot facetów trwa. Mam antychłopackie klapki na oczy i niezawodną stylówkę niewidkę.

*Jak rozplynąć się w powietrzu: zetnij ponadmetrowe blond loki, a resztę włosów upchnij pod czarną czapkę skarpeta. Tatuaze chowaj tak, żeby*

*nikt nie widział. Noś tylko za duże bluzy, za  
duże dzinsy i adidas. Nie odzywaj się.  
(Czasem też dopisuję coś do biblii).*

Caleb rozgląda się po sali.

– Powiem w imieniu wszystkich, okej? – Urywa, starannie dobierając słowa, które rzucą mnie na deski. – Nie da się oceniać prac CJ, bo zawsze są pogruchotane i sklejone, tak jak tutaj. To znaczy za każdym razem wygłaszamy z powagą jakieś bzdety.

Wyobrażam sobie, że jestem na łące. Tak mi poradził szkolny psycholog – mam to sobie wyobrażać, kiedy czuję, że zaraz oszaleję albo, jak mawiała babcia, że dostanę szmergla.

A gdyby ktoś się zastanawiał: samodzielnie wykonane czterolistne koniczynki nie mają soku.

– A co ta rzeźba komunikuje? – pyta grupę Sandy.

Randall „Bez Obrazy, Ale” Brown zaczyna wyrzucać z siebie słowa. Jest wybitnym dupkiem, który uważa, że podczas omawiania pracy może powiedzieć najobraźliwsze rzeczy, jeśli tylko poprzedzi to słowami „bez obrazy, ale”. Najchętniej wpakowałabym mu pocisk ze środkiem usypiającym.

– Komunikowałaby dużo więcej, gdyby była celowa. – Patrzy na mnie. No i proszę. – To znaczy, CJ, bez obrazy, ale chodzi o to, że zasadniczo w ogóle ci nie zależy. Jedyne racjonalne wytłumaczenie tego, że prace pękają ci w piecu, jest takie, że za mało wyrabiasz glinę albo nie czekasz, aż równomiernie wyschnie.

Strzał w dziesiątkę. Bingo. Trafiony zatopiony.

Niektóre wytłumaczenia nie są racjonalne.

Dzieją się dziwne rzeczy. Gdyby wolno się było odzywać, kiedy twoja praca jest krytykowana, i gdybym mogła dostać oświadczenie podpisane przez kogoś na odpowiednio wysokim

stanowisku, na przykład od Boga, że nie zamkną mnie na resztę życia, powiedziałabym: „Czy nikt z was nie ma niezżyjącej matki, która jest na niego taka zła, że wstaje z grobu, żeby niszczyć jego prace?”

Wtedy by zrozumieli, z czym muszę się mierzyć.

– Randall zwrócił uwagę na ważną rzecz – mówi Sandy. – Czy celowość ma znaczenie w naszym doświadczaniu i ocenianiu sztuki? Czy jeśli ostateczna rzeźba CJ jest w kawałkach, jej pierwotna koncepcja całości nadal jest dla nas ważna? Inaczej mówiąc, czy chodzi o podróż, czy o cel tej podróży?

Na te słowa cała klasa zaczyna szumieć jak zadowolony ul i Sandy rozpoczyna z nimi dyskusję o tym, czy po ukończeniu dzieła artysta w ogóle ma jakieś znaczenie.

Ja wolę myśleć o marynatach.

– Ja też: ogórki w occie, wielkie i soczyste. Mniam, mniam – szepcze babcia Sweetwine w mojej głowie. Ona również nie żyje, tak samo jak mama, ale w przeciwieństwie do mamy, która tylko niszczy różne rzeczy, babcia do mnie mówi, a często też się pokazuje. Jest dobrym policjantem w tym świecie duchów, a mama złym. Staram się zachować kamienną twarz, kiedy gada dalej: – O rety, ale się zdrzemnęłam. A co to za paskudę ulepiłaś? I o co ta cała heca? Dlaczego nie powiedzą, że następnym razem pójdzie ci lepiej i nie zajmą się kolejną ofiarą, na przykład tym chłoptasiem, co mu banany zwisają z głowy?

– Babciu, to są blond dredy, mówię jej w myślach, uważając, żeby nie poruszać wargami.

– Uciekaj, mówię ci.

– Chciałabym.

Te dyskretne tiki? Dobra, może nie aż tak dyskretne.

Ale warto odnotować: dwadzieścia dwa procent światowej populacji widzi duchy – to ponad półtora miliarda ludzi na całym świecie. (Nie ma to, jak mieć rodziców naukowców. Tacy to potrafią wyszukiwać informacje).

Słuchając brzęczenia teoretyzujących klonów, zabawiam się w jak chciałbyś umrzeć. Jestem obecnym mistrzem w tej grze. To nie takie proste, jak się wydaje, bo dopuszczenie do sytuacji, kiedy po obu stronach mamy jednakowo przerażający rodzaj śmierci, wymaga niebываłych umiejętności. Na przykład: od najedzenia się garściami tłuczonego szkła albo...

Ale nie mam szansy pograć, bo ku zdziwieniu mojemu i reszty Fish (nie ma nazwiska) podnosi głowę. Fish zasadniczo się nie odzywa, tak jak ja, więc to jest naprawdę coś.

– CJ ma niesamowitą technikę – mówi, a kolczyk w języku błyska w jej ustach jak gwiazda. – Uważam, że to jakiś duch niszczy jej prace.

Wszyscy rechoczą, śmieje się nawet Sandy. Mnie wbija w podłogę. Widzę, że Fish nie żartowała. Patrzy mi w oczy, po czym podnosi rękę i lekko nią potrząsa. Na nadgarstku ma modną punkową bransoletkę z amuletami, która idealnie pasuje do całej reszty: fioletowych włosów, wytatuowanych przedramion, ogólnej zlewki. Potem rozpoznaję amulety: trzy kawałki rubinowego szkła z morza, dwie czterolistne koniczyny w plastiku i garść płaskich muszelek, wszystko zawieszona na czarnym postrzępionym rzemyku. Nie zdawałam sobie sprawy, że ukradkiem wsunęłam aż tyle szczęścia do jej torby, do kieszeni jej fartucha. Zawsze wygląda tak smutno pod całym tym zombiowym makijażem. Ale skąd wiedziała, że to ja? Czy reszta też wie? Na przykład ten nowy nerwus? Najwyraźniej też ma jakiegoś szmergla. Wetknęłam mu mnóstwo muszelek.

Jednak oświadczenie Fish i jej bransoletka to samotne party. Przez resztę lekcji moi koledzy jeden po drugim miażdżą *Potłuczoną grudę nr 8*, a ja coraz bardziej czuję własne dłonie, które trzymam przed sobą zaciśnięte i pobielale. Czuję swędzenie, coraz silniejsze. Wreszcie rozplatom palce i przyglądam im się pod stołem. Ale nie ma ani śladu ugryzień czy wysypki. Szukam czerwonej plamki, bo to może być objaw martwiczego

zapalenia powięzi, na którego temat przeczytałam w s z y s t k o w jednym z medycznych czasopism taty...

Dobra, mam: Jak chciałbyś umrzeć? Po zjedzeniu kilku garści tłuczonego szkła czy na skutek galopującego martwiczego zapalenia powięzi?

Głos Felicity Stiles – sygnał, że koniec jest bliski! – odrywa mnie od rozważania tego gotującego mózg dylematu, przy czym zaczynam się skłaniać raczej ku zjedzeniu szkła.

– Sandy, czy mogę podsumować? – pyta jak zawsze. Ma przepiękny melodyjny kalifornijski akcent, którego używa do wygłoszenia kazania na koniec każdej prezentacji. Przypomina mówiący kwiat, kaznodziejski żonkil.

Fish ukradkiem udaje, że ktoś przebija ją nożem. Uśmiecham się i zbieram w sobie.

– Myślę po prostu, że to smutne – zaczyna Felicity, po czym czeka chwilę, aż wszyscy skupią się na niej, co trwa nie dłużej niż sekundę, bo nie tylko mówi jak żonkil, ale wygląda i zachowuje się jak kwiat, a my wszyscy stajemy się ludzkimi westchnieniami wokół niej. Wyciąga rękę w kierunku mojej grudy. – Czuję w tej rzeźbie ból c a l u t k i e g o ś w i a t a – grucha, przeciągając głoski. W takim tempie ten świat się skończy, zanim Felicity wypowie, o co jej chodzi. – Bo wszyscy jesteśmy połamani. No przecież tak jest. Na przykład ja. C a ł y ś w i a t jest potrzaskany. Staramy się, ile sił, ale raz po raz spotyka nas porażka. Moim zdaniem to właśnie mówią wszystkie prace CJ. Napęlnia mnie to ogromnym smutkiem. – Zwraca się do mnie: – Rozumiem, jaka jesteś nieszczęśliwa, naprawdę rozumiem.

Jej wielkie oczy zaraz mnie zjedzą. Och, jak ja nienawidzę tej szkoły. Podnosi dłoń zaciśniętą w pięść i przyciska ją do piersi, po czym trzykrotnie się w nią uderza, mówiąc:

– Ja. Cię. Rozumiem.

Dłużej nie wytrzymam. Kiwam do niej głową jak koleżanka z klombu żonkili, kiedy stoł pod *Pośluczoną grudą nr 8*

załamuje się i mój autoportret spada na podłogę, gdzie roztrąska się na kawałki. Znowu.

No nieźle, mówię do mamy w głowie.

– Widzicie – stwierdza Fish – to duchy.

Tym razem nikt nie rechocze. Caleb kręci głową.

– Niemożliwe.

Randall:

– Co to było, do cholery?

Wy mi powiedzcie, rodacy. W przeciwieństwie do duszka Caspera i babci Sweetwine mama nie jest przyjaznym duchem.

Sandy włązi pod stół.

– Śruba wypadła – mówi z niedowierzaniem.

Biorę zmiotkę, którą trzymam przy swoim stanowisku na takie okazje, i zamiatam kawałki *Potłuczonej grudy nr 8*, podczas gdy reszta mamrocze o moim pechu. Wyrzucam kawałki do śmietnika. A na górę pozostałości mojego autoportretu dorzucam jeszcze fałszywą czterolistną koniczynkę.

Mam nadzieję, że może Sandy zlituje się nade mną i odłoży nasze ważne spotkanie na po przerwie zimowej, która zaczyna się jutro, ale on mówi bezgłośnie:

– W moim gabinecie. – I wskazuje na drzwi.

Idę przez pracownię.

*Zawsze ruszaj prawą nogą, żeby odwrócić  
nieszczęście, które przychodzi z lewej.*

Zanurzam się w wielki pluszowy fotel naprzeciwko Sandy'ego. Przeprosił już za śrubę, która wypadła, i zażartował, że może Fish miała rację z tym duchem, co?

Chichotał przy tym uprzejmie, bo cóż to za absurdalny pomysł.

Teraz bębni palcami o blat. Oboje milczymy. Całkiem mi z tym dobrze.